

musi odejść od tych najdroższych istot, którym dała życie, swą krew, serce i duszę własną, usunęła ze swego pokoju wszystkich, co ją bladi ze wzruszenia i smutku otaczali, polecając Ignasiowi i Helucie, żeby się zbliżyli do jej łoża.

Wzrok jej przystawiony utkwiał w ich twarzach, uśmiechnęła się.

Po chwili, kiedy uklękli przy łożu, rzekła drżącym głosem, nie spuszczać z nich oczu:

— Weź ją... to nasze dziecko. Wydałam ją na świat, jako najpiękniejszy owoc mej bezgranicznej miłości, bo kochałam męża do obłędu, a tyś ją, Ignasiu, jak kwiat egzotyczny wyhodował. Pod ciepłymi promieniami twych kochających i prawdziwie ojcowskich oczu rozwinął się ten ukochany pąk... w precudny kwiat, któryś tyle lat hodował... grzał ciepłem twego serca i strzegł. Tem, czym dziś jest, tobie zawdzięcza, bo mąż mój, choć najzaciejszy człowiek pod słońcem i dobry ojciec, ale jako kolejarz wiecznie tą wyczerpującą służbą zajęty, jak sam wiesz, nigdy czasu dla domu nie miał...

Tyś w tej piersi młodej wywołał, zbudził najsłachetniejsze porywy duszy i serca, tyś ją uczył patrzeć na świat... na nędzę... na niedolę naszego narodu... wyczuwać ją i łagodzić. Ona żyje tobą... Bez ciebie zwiędłaby jak kwiat, kiedy mu słońko nie użytyło swych ciepłych promieni... Zaden inny mężczyzna nie może jej pojąć, bo jej nie zrozumie, a z tą chwilą, kiedyby twoje oczy przestały na nią patrzeć... żyłaby przestala... Ignasiu, oddaję ci dziś jej ciało... bo duch i serce należały już oddawna do ciebie.

Słowa te — z głębi piersi i sercem anielskim wypowiedziane — podziały jak prąd elektryczny na kłęzącą przy łożu parę... zaciśły w ich sercach węzły na wieki... Jednym ruchem rąk objęli matkę... Ignas łkał cicho... radość i ból mieszały się... walczyły ze sobą kolejno... Nie mówił nic — tylko łkał i zmywał łzami nogi przybranej matce...

— Matuchno... matuchno! — płacząc wołała Helutka i całowała jej czoło... usta i ręce...

Przytuliła się do niej, a serce jej tak biło, że tchu nie mogła schwycić...

Za dużo szczęścia... i za wiele bólu naraz dla tego biednego serca...

— Nie płacz, kotuchno... nie płacz... — prosiła ją matka, gładząc jej włosy — bo gdyby Wszechmogący powołał mię do siebie... i to serce matki, które cię tak ukochało... to zostanie ci on, który ci je w zupełności zastąpi... i da ci to szczęście, którego ja, choć najtkliwsza matka, dać ci nie mogłam... Spokojnie przejdę na drogę wieczności, skoro mi Stwórca pozwolił patrzeć na ślub waszych serc...

Słońce ozłociło po tych słowach łożo chorej... jak w aureoli jaśniała ta grupka szlachetnych istot... a serca tych trojga przebarwiły swem uczuciem złote promienie w tęczę, po której przeszła dusza ukochanej i jedynej matki do wieczności... uszedł anioł ziemski... który ich związał stułą z tkaniny serc...

W uścisku Ignasia i Heluty pozostały tylko jej martwe zwłoki... a na zadatek ich przyszłego szczęścia... łzy...

Heluta przebiegała swą myślą, osrebrzona blaskiem seledynowej, precudnej nocy... wszystkie kąty ich miłości... przeglądała jak księgę z przepięknymi obrazkami... i śmiała się błogo na widok każdego z osobna, jak dziecko do kosztownego cacka...

Przy niejednym wspomnieniu zadrażała na całym ciecie... wyciągała swe rączki... jakby je chciała pochwycić... opleść, jak wonny powój wiklinę nadbrzeżną... która, jak chytra i zazdrosna kochanka — kryje błękitne nurty naszej Wisły... i pije skrycie i chciwie z jej nurtu rosę... tak — jak pije dziewczę z drogich ust miłość... bez przerwy... do dna... do boskiego omdlenia... aż oczy, sięjące żarem miłości... pokryje tajemniczy całun rozkoszy... tęczowa mgła...

Heluta zapadła w błogi, rozkoszny pół-sen. Przytuliła się do poręcz ławki... usteczka rozchyliła jak paproci kwiat swój misterny tajemniczy kielich o pół nocy... jej ciało przeżyło się... wydawało zawrotną, upojną woń... piers falowała szybko... jakby palona wewnętrznym ogniem miłości...

Jakiż on inny, różny od tych młodych ludzi, których do kobiety popycha tylko instynkt — myślała. Mam wiele koleżanek — mówiła do siebie — które śniły o królewiczach z bajki, a potem zwie-

rzały mi się ze swych skrycie przepłakanych nocy, prawie wszystkie doznawały zawodu...

Bo „panicz“ strawił całą młodość na hulankach, włóczył się po handerkach, kawiarniach, szastał się z kobietami z półświatka, dochodził do pieniędzy nieraz w najnieuczciwszy sposób... byle użyć...

Całe człowieczeństwo składało się u takiego „panicza“ z dobrze skrojonego ubrania (na wypłat!), z wypomadowanych na głowie włosów, lakierów, nóg cienkich jak zapalki, pogardliwie obwisłej wargi, czasem monokla... no i blagi.

Tacy ludzie wyczerpują się w małżeństwie za kilka dni nawet... są podobni do zmiętej rękawiczki... nie mają sobie więcej nic do powiedzenia... bo tajemnica życia wyczerpała się już wczesną młodością... w zaraniu... Udają, wyszukują różne powody, żeby się wysunąć z domu, a wkońcu zupełnie powracają do pierwotnego trybu życia.

I niejedna z tych kobiet, dziewicza i świeża jak jagoda... czekała na przyjście męża, trawiona żarem miłości... konała i wila się z bólu i zawodu w przepychach koronek w sypialni... a mąż grał po całych nocach w karty, albo kołędował przy bufetach ze sforą starych pijaków.

Te „uciechy“ zastępują mu zupełnie miłość kobiety, żony... a jej marzenia rozwiały się w puch... znikły jak bańka na wodzie, runął wyśniony gmach szczęścia i ołtarze z mirtu, które niejedno biedne serce dla swego bożka stawiało.

Wraca taki „wstawiony“ bożek miłości... do kochającego serca kobiety... w ustach wszystkie gatunki alkoholu i resztki kanapek na wąsach... czkawka. Chwieje się na nogach i skołtaczym językiem usiłuje przemówić, dowieść jej, że on ją przecie kocha... monologuje... Widok i zapach takiego męża przestrasza kobietę, jak spostrzeżenie zimnej jaszczurki na jej rozpalonej piersi...

Ale jest mu posłuszną, choć ze wstrętem, dla świętego spokoju, żeby nie wyprawiał awantur po nocy, żeby ukryć wstyd przed uchem i okiem ludzkim... a serce trzepie się jak ptak i krzyczy... jakby jastrząb zatopił w nie swe ostre szpony...

Brrr!... przeszedł ją mróz do szpiku kości... Umarłabym... myślała...

Znała dużo tych tajemnic małżeńskich, myślała o nich z lękiem i porównywała los swych koleżanek ze swem promiennym, idealnym szczęściem.

Ileż to takich kobiet szlachetnych marnieje... kona moralnie i fizycznie... wiednie, jak chwastami życia uduszony, delikatny kwiat... A życie jest cudne, pełne tajemniczych, czarownych i przesłodkich toni... tylko trzeba umieć żyć... sercem... trzeba się utrzymać na wyżynie życia... nie staczać do brzdów... trzeba się starać, chcieć... żeby w małżeństwie nie wypaść z roli przepięknej — kochanka i kochanki... bo życie jest tylko jedno!... A potem ciemnia... straszny i zimny grób...

Jakaż jam z moim Ignasiem szczęśliwa... Heluta pod wrażeniem tej myśli zbliadła... coś w jej jestestwie drgnęło... poczuła się matką...

Rumieniec wystąpił jej na twarz... opanovał ją jakiś dziwny, błogi lęk szczęścia... Komuż ona się zwierzy... z kim podzieliła taką radosną nowiną... kiedy matka pod mogiłą... a on... nie wie, gdzie i dokąd odjechał... bo stanowisk wojsk zdradzać nie wolno...

Skryła tę słodką tajemnicę pod sercem...

Zerwała się potem na równe nogi... biegła, jak sarenka, do willi... wpadła do swego panińskiego pokoiku, z którym i po ślubie się nie rozstała i nie pozwoliła nic zmienić w tej „świątyni dumania“... ukryła twarzyczkę w dłoniach... przedła nic czarownych, złotych snów... była przy nim... w okopach...

Objęła go za szyję... całowała i pieściła bez końca, droczyła się, przekomarzała... nie powiem... nie... nie... nie... a potem objęła rączkami jego głowę... i długo... długo szeptała mu jakąś arcyważną, rozkoszną tajemnicę do ucha... aż ją sen zmógł... i zasnęła...

Uśmiechała się... szczęśliwa..., bo we śnie wykradła niebu część rajy...

Patrzyła z zachwytem, jak Ignas promienił się ze szczęścia...

A potem uciekla od niego na parę kroków, przystanęła... i przechyliwszy główkę — śmiała się, jak jagoda czerwonym słońcem do słońka...

Niby mecenas sztuki... z odległości... patrzyła na Ignasia, na obraz szczęścia i radości, jaki wywołało na twarzy jego zdradzenie słodkiej, przemilej, rozkosznej tajemnicy... niewysłowionego szczęścia...

Jak wicher stepowy powiał do niej... oplótł rękami jej uroczą postać, podniósł ją do góry...

Zawisła w powietrzu... na jego drogiej piersi...

Całował tak gwałtownie jej usta, oczy... że omdlewała z nadmiaru szczęścia... leciała w przepaść rozkoszy...

Uniósł ją gdzieś w nieznany kraj... weszli przez bramę żywego, precudnego kwiecia... na nieprzejrzane łąki... morze kwiatów... cud...

Tam ją ułożył... pieścił tak rozkosznie, że traciła zmysły... drżała...

Słońko zatoczyło już wysoko swój złocisty rydwan na strop niebieski, cudny jak włoskie niebo, zaglądało ciekawie przez okno do jej panińskiego pokoiku, ślizgało się po różowych, misternych mebelkach, załamywało się w złożonych, polerowanych okuciach, strzelało snopami promieni..., a Helutka nie przebudziła się jeszcze z czarownego snu, błędziła z Ignasiem po kwietnej, cudnej łące... piła z jego ust niebiańską rosę miłości...

Jej śnieżną pierś, przez miłe ciepło lekko zaróżowioną, przepiękną, otulały i kryły tajemniczo, pojętnie, misternej roboty koronki, falowały rytmicznie z tą cudną piersią...

Na ustach igrał błogi uśmiech. Słonko... jakby zazdrosny, ale zarazem najczulszy kochanek... doszukało się jej różowego ciała... chciało podłuszczać i wydrzeć z jej piersi drogą tajemnicę... pieściło i grzało promieniami jej piersi... jakby chciało stopić to ciało... żeby się dostać do serca... zaglądnąć, co się tam dzieje...

Muskało jej wiśnie-usteczka... chciało rozwiać miłosną mgłę z jej oczu, żeby spojrzeć w nie, wycałować drogą tajemnicę...

Złociło jej jasne, bogate sploty, tworzyło z nich złocistą koronę.

Silniejsze, szczęśliwsze było słonko, wyrwało Helutę z rozkosznych objęć Ignasia... obudziła się.

Na wspomnienie prześnionej nocy dreszcz rozkoszy przeszedł jej ciało. Przeciągła się pod jedwabną kołderką, podniosła rączki do góry, jakby chciała zatrzymać cudne sny... które zazdrosne rozprószyło słonko...

Przemęczona rozkoszą nocy... błogiego snu... powróciła na ziemię z żalem... jakby ją wypędzono z rajy... odepchnięto z uścisków Ignasia.

Za chwilę, ubrana w przesliczny, jakby z precudnej, mistrzowskiej tkaniny indyjskiej szlafrocze, co uwydatniał jej kształty klasycznie pięknego ciała... weszła do ogrodu.

Była tak piękną, skąpaną promieniami rannego słońka, że przechodnie stawali na ulicy i nie mogli oderwać oczu od tej czarującej istoty.

Miłość i tęsknota tak ją wysubtelniły, wypięknily, że podziw budziła u ludzi.

Obeszła ogród wokoło, porozmawiała z kwiatami, jakby udziela pani w tem księstwie przyjmowała poddanych na audyencyi, tylko, że jej anielsko piękne oblicze było smutne.

Mówiła, jak sierota... do sierot...

Po śniadaniu wyszła na przyległe do willi pola. Kroczyła miedzami pośród zbóż, zabarwionych polnymi kwiatami. Dojrzałe zboże złociło się i srebrzyło nieprzejrzany płaszczyznami, które falowały, jak przypływ i odpływ spokojnego morza, a maki znaczyły się jak plamy krwi na bogatej, złoto-srebrnej tkaninie.

Zapach zboża silny i odurzający przenikał głębiej jej piersi, oszałamiał główkę.

Szła, jak marzenie... jak z bajki królewna... bogini polnych łądów, po miedzach haftowanych kwiatami wonnej macierzanki, przeszywanych poziomkami, jak gorsety wiejskich dziewcząt czerwonymi guzikami. Szła ku laskowi, gdzie srebrzył się staw.

Obsiadły go niskie drzewiny o podszyciu gęstego wikla, kaczęca i tatarczucha, schroniska krzyżówek i zwinnych cyranek.

Na parę kroków od stawu zadrażały, zatręsty się listki osiki, jakby je przejął miły dreszcz na widok Heluty.

Wsiadła do łódki i odbiła od brzegu.

W stawie zawrzało... Złote karpie, które grzały się na słońcu, pływając wierzchem wody, zoczyły łódź i białą w niej plamę i jak bażanty na świst leśnika „do futra“, rzuciły się do łodzi.

Znały ją, opiekunkę i dobrodziejkę, oddawna.

(Dokończenie nastąpi)